

Rozdział III - Zniekształcony

Byliśmy w pociągu pędzącym w kierunku Dodge Junction. Trafiłem na typowy, equestriański wagon, ponieważ wszystko wokół było ładne, czyste i kolorowe; całkowite przeciwieństwo przedziału, w którym przybyłem do Ponyville. *Tylko tęczy brakuje...* Potrzebowałem ciemniejszych, ponurych pomieszczeń chociażby dla chwili refleksji; były rytualną częścią każdej mojej podróży. Z drugiej strony zapomniałem, że nie podróżowałem „sam”.

Applejack wyglądała na senną, ale zadowoloną z wyjazdu. Nadal nie mogłem zrozumieć, czemu nie chciała spotkać się z Księżniczką. Wizyta tak ważnej osobistości to rzadkość, a przecież nie obraziłbym się, gdyby odmówiła, nawet z *tak blahego* powodu. Podczas tego rozdziału mojego życia, nie mogłem dopuścić, by uczucia stanowiły jakiegokolwiek zagrożenie dla powodzenia misji. Otwarcie szkatuły było priorytetem i tego musiałem się trzymać. Jednak nie przed wszystkimi wątpliwościami mogłem uciec.

- Czemu nie wzięłaś ze sobą szkatułki? – spytała Applejack, kiedy byliśmy mniej więcej w połowie drogi. – Myślałam, że jesteście ze sobą, niczym jabłko w szarlotce?

- Nierozłączni? – odparłem, próbując zrozumieć jej porównanie.

- No... tak!

- Postanowiłem pozostawić ją u panny Sparkle; magia, którą będzie mogła na spokojnie okiełznać. Myślę, że odpowiednio spożytkuje ten czas, może nabierze odpowiedniego podejścia?

- A nie obawiasz się, że coś się z tą szkatułką stanie?

- Czyżbyś nie ufała swojej bliskiej przyjaciółce? – zaśmiałem się, widząc rumieniącą ze wstydu klacz. Zdawałem sobie sprawę z tego, że chciała jeszcze lepiej mnie poznać, ale bez przesady; zbyt dojrzały byłem na przyziemne przygody.

- Oczywiście, że jej wierzę! – krzyknęła lekko speszona. – Po prostu się martwię o ciebie.

- Niepotrzebnie. Samotnie nie przebrnie się przez życie. Czasem musisz powierzyć sprawę istotniejsze od własnego istnienia innym kucykom. Każdy z nas, badaczy w najogólniejszym znaczeniu, potrzebuje czasu, by poznać naturę własnych działań. Ty też pewnie nie od razu w pełni opanowałaś sztukę posługiwania się lassem?

- No oczywiście! Czemu takie dziwne pytania zadajesz?

- Jesteś w końcu kowbojką – ponownie uśmiech ozdobił naszą rozmowę. – To chyba oczywiste. Podobnie jest i w tym przypadku; dajmy czas naszej czarodziejce, a może dokona jakiegoś odkrycia?

- Wydaje mi się, że w tym wszystkim nie chodzi o Miss Jubilee, ani o Twilight.

- W takim razie jest pani bystrzejsza, niż sądziłem, panno Applejack.

- A mnie się wydaje, że życie jest jak kaloryfer... Tylko jeszcze nie wiem, dlaczego! – wtrąciła Pinkie Pie, całkowicie burząc nastrój naszej rozmowy. Przecież nie muszę chyba tłumaczyć, że ta różowa zmora potrafiła być w dwóch miejscach jednocześnie? Założyłbym się, że szykowała w międzyczasie dania, które będą podawane podczas wizyty Pani Słońca w Ponyville.

Powrót do Dodge... Nic tak nie radowało mnie, jak ponowne spojrzenie na starą, rozpadającą się stację pełną próchniejących desek. Lata minęły, a wciąż ten starodawny, typowo południowy wystrój zdołał całą miejscinę. Widok rujnującego się miejsca nadal karmił moje zmysły i pozwalał na powrót do starych przyzwyczajęń. Warunki tutaj były o wiele trudniejsze niż w Ponyville, jednak dało się o wiele łatwiej nawiązać kontakt z ludnością. *Tutaj przynajmniej posiadają charakter...*

Spacer po Dodge zachowałem sobie na wieczór. Pierwszą rzeczą, jaka przyszła do głowy, było spotkanie się z Cherry Jubilee. Minęliśmy całe miasteczko i prędko przybyliśmy na farmę wiśni, która wciąż dobrze się trzymała. Wraz z Applejack wkroczyliśmy do środka, zostawiając Pinkie na peronie stacji. Nie zdołała dotrzymać swojej obietnicy, dlatego też wystrzeliła z pociągu niczym rakieta w poszukiwaniu jakiegoś wychodka.

- Rotter! Applejack! – krzyczała radośnie wykwintnie wystrojona klacz obserwująca nas z ganku. Natychmiast zeszła, by powitać uroczyście gości. – Jak miło, że wróciliście. Niech was uściskam...

- Emmm.. Tak, Cherry. My też się cieszymy... - uśmiechałem się niezręcznie, uwalniając się z uścisku. – Niezmiernie mi miło, że udało nam się spotkać. Mam nadzieję, że nie będzie to kolidowało z twoją pracą?

- Tortuous Rotter i jego troska – chichotała. – Nic się nie zmieniłeś przez te wszystkie lata. Zawsze jesteście mile widziani na moim ranczu. Widzę, że zaprzyjaźniłeś się z Applejack!

- Miło panią spotkać, pani Jubilee. – Ukłoniła się, ściągając kapelusz z głowy.

- Wybaczcie, ale muszę się przygotować do podróży. Możecie korzystać z mojej farmy dowoli. Cóż, to widzimy się wieczorem! – wraz z kowbojką odruchowo skierowaliśmy się w kierunku sadu, ale Cherry zatrzymała nas na chwilkę. – Ach, zapomniałabym... „Bawcie się dobrze!”

Spotkanie ze starą znajomą zaliczyłem do bardzo niezręcznych, ponieważ nie przewidziałem jednej rzeczy. Cóż... Można by rzec, że przychodzi czas, kiedy kłamca gubi się we własnych zeznaniach. Tak było i w tym przypadku; Applejack postanowiła przemilczeć całe to spotkanie, ale mogłem postawić hektolitr cydru, że prędzej czy później będzie domagała się prawdy na mój temat. *Teraz się broń...* Mimo to, Cherry wciąż pamiętała o mnie oraz wspólnie

spędzonych chwilach.

Dojrzała... Strasznie się zmieniła; wcześniej pamiętałem ją jako małą, drobną klacz o prostych, długich włosach. Zawsze podobała mi się wiśniowego zabarwienia grzywka, która przyprowadzała o prawdziwy, szczery uśmiech. Teraz widocznie wydorosła i nabrała ciała. Nadal była urokliwa, zmieniła fryzurę na bardziej wykwintną i dorosłą, nawet zaczęła dbać o swój pieprzyk na lewym policzku. Nie była już to byle pracowniczka przy wiśniach; teraz musiałem ją traktować jako przedstawicielkę bogatej i dobrze prosperującej farmy, której owoce krążyły po całej Equestrii. To mnie cieszyło.

Jej „Bawcie się dobrze!” na zawsze utkwiło w pamięci. Cechowała ją uprzejmość i otwartość do wszystkich kucyków. Potrafiła udzielić pomocy niemalże każdemu, poświęcając przy tym czas i pieniądze. Można rzec - była aniołem w jasnożółtej sierści, którą darzyłem wyjątkową sympatią. Zawsze, kiedy miałem problem, kierowałem się do niej. Ilość dzielących nas kilometrów nie była przeszkodą; to tutaj mogłem odpocząć i zapomnieć o wszystkich bólach tego świata.

Dostaliśmy pozwolenie na spędzenie kilku godzin pośród wiśni. Dziwnie to wyglądało; uciekliśmy z Ponyville tylko po to, by pracować gdzieś indziej. Cóż... Pracę mieliśmy we krwi, to był nasz sposób na spędzanie wolnego czasu. Dla nas nie stanowiło to jakiegoś większego problemu, by nawet podczas prowizorycznego wypoczynku, uderzać kopytami o konary drzew.

- To w końcu Tortuous Rotter czy Dolefulfate? – spytała Applejack podczas pracy.

- A jak pani sądzi, panno Applejack? – Próbowałem grać na czas, by w porę wymyślić odpowiednią wymówkę szczególnie, gdy myśli nie dawały mi spokoju. *No dalej, spowiadaj się...!*

- Sądzę, że gruszka i cynamon strucla nie da... Jaki w tym cel, kowboju? Po co ta cała gra?

- Panno Applejack, należy pamiętać o tym, że życie nie jest bajką - palnąłem śmiertelnie poważnie. - Należy unikać zagrożeń i zapobiegać im. Żyła pani przez większość czasu w Ponyville, kosztując swobodnego, pozbawionego stresu życia. Nie każdy ma takie możliwości, dlatego po prostu wydajemy się... inni. Proszę pamiętać, że była pani źrebkiem, kiedy wyruszyła pani w świat za rodzicami.

- A nie wydaje ci się, kowboju, że bez zaufania nie zyskasz przyjaciół?

- Nikt nie powiedział, że potrzebuję przyjaźni, panno Applejack. Przybyłem do Ponyville tylko po to, by otworzyć szkatułę. Z kolei wybrałem się w tę podróż z pewnych, niewyjaśnionych pani powodów. Jest pani tutaj, ponieważ zgodziła się pani przyjąć moją propozycję, natomiast pannę Pie pozostawię bez komentarza. – Kątem oka zauważyłem, że pomarańczowa klacz zmarkotniała. *Chyba liczyła na trochę zaufania...* Poczuję się głupio,

informując ją o tym teraz, jednakże nie widziałem powodów, by mówić całą prawdę. Najgorsze było to, że dialog nabrał cięższego charakteru.

- Jeśli otworzysz szkatułkę, to co dalej? Pozbędziesz się nas wszystkich z pamięci? - rzuciła coraz ostrzej retorycznymi pytaniami.

- Pada zbyt wiele pytań bez odpowiedzi, panno Applejack. Nigdy nie mówiłem o przyszłości mojej czy waszej. Po prostu, usunę się z waszego życia, byście mogły cieszyć się nim dalej. Ja z kolei, zniknę pozostawiony na pastwę wspomnień.

- Bardzo nie podoba mi się twoje podejście, kowboju – burknęła i zaczęła wyładowywać frustrację na pobliskich konarach. Kopała mocniej niż zazwyczaj; tak silnie, że poza wiśniami zlatywały również słabsze gałęzie. Widziałem, że robi się coraz gorzej, dlatego przemówiłem jej do rozsądku i zrobiliśmy sobie przerwę, by nasze myśli mogły chociaż chwilę odpocząć. Applejack została na farmie, z kolei ja wybrałem się na przedwczesny spacer po Dodge

Nie spodziewałem się, że wycieczka będzie tak problematyczna. Cherry zaskoczyła mnie swoją pamięcią; tamto imię zniknęło w głębokich odmętach mojego umysłu podobnie, jak inne, wcześniej wykorzystywane. Każde pasowało do odpowiednich sytuacji, którym przychodziło sprostać. Z racji mojego matactwa, musiałem teraz liczyć na swój smętny los. Jedyne, co mogłem zrobić, to wzdychać i liczyć na dalszy rozwój wydarzeń.

Czułem się niezręcznie; Applejack poznała garstkę mojej przeszłości oraz nabrała podejrzeń. Obawiałem się, że może to przeszkodzić w otwarciu szkatułki. Musiałem myśleć szybko i odnaleźć odpowiednie rozwiązanie, ponieważ w dwa dni nie zdołam odbudować zaufania.

Tylko nie znowu... Odnosiłem wrażenie, że jestem czyimś obiektem zainteresowań od chwili opuszczenia farmy. Nie mógłbym uwierzyć w to, że zaprowadziłem tutaj żartownisia z Ponyville. Gdyby nie ta magia towarzysząca przy ostatnim spotkaniu, mógłbym bez problemu zdemaskować różową zmorę. Nie mogłem uwierzyć, że ten *przeklęty* pech sprowadził za mną tego figlarza, ale nie mogłem być pewien.

Postanowiłem unikać spojrzenia tajemniczego przechodnia jak najdłużej, ale nie było to takie proste. Co chwilę mała, tajemnicza sylwetka chowała się po kątach różnych budynków. W dodatku zawsze stała pod słońce, przez co nie mogłem jej zidentyfikować. Z czasem podążałem coraz szybciej i szybciej, próbując zgubić niewygodnego obserwatora.

Do siana...! Podczas skrętu w jedną z alejek poczułem jakąś pętlę ścieśniającą się na kopycie. Dziwaczny mechanizm złożony z zębatek, lin oraz dźwigni skąpanych w cieniu niedostępnym dla słonecznych promieni był typową pułapką na nieuważne kucyki. Czując, że zostałem złapany w sidła, próbowałem się w porę oswobodzić, ale cały mechanizm zadziałał

niezwykle sprawnie.

Szarpnęło mnie do góry i zawisłem na niewielkiej wysokości. Żeby tego było mało, pewne metalowe ramie dzierżące jakieś ciasto wyłoniło się z mroku alejki i uderzyło mnie z dużą siłą. Niestety mechanizm nie był zbyt precyzyjny, ponieważ ciasto wylądowało na klatce piersiowej. Zlizalem z twarzy odrobinkę i poirytowałem się. *Wiśniowe... Znowu użył wiśniowych...!*

- Wujek Rotter! - Z alejki wyskoczył żrebak uśmiechnięty od ucha do ucha. Podskakiwał radośnie na mój widok

- Quickeye, no oczywiście... - mruknąłem zły na jego wybryk, ale zdawał się zbywać wszelkie nieprzyjemne komentarze. – Dlaczego nie potrafisz się przywitać jak każdy normalny kucyk?

- Ponieważ ty uwielbiasz żarty! – Śmiał się na widok mojej wściekle wyglądającej twarzy. – Kupiłem dzisiejsze ciasto specjalnie dla ciebie, wujku!

- Mógłbyś chociaż popracować nad samym mechanizmem... Co ja gadam, ściągaj mnie stąd!

- Przecież wujek rzadko odwiedza Dodge... - burknął z wyrzutem malec i zaczął luzować linę. Opuścił mnie powoli, a następnie próbował mnie oczyścić z resztek ciasta. – Gdybym znał twoją masę, mógłbym lepiej oszacować tor lotu i czas zwalniania przekładni. Wtedy ustabilizowałbym poziom wraz z siłą liny i...

- Ile razy ci mówiłem, żebyś nie używał takiego słownictwa? – warknąłem do niego, idąc przed siebie. Żrebak nie chciał zmarnować okazji i ruszył za mną na wycieczkę po Dodge.

Jak ja nie znoszę tego szczeniaka... Nie przepadałem za towarzystwem żrebaka, kiedy potrzebowałem trochę przestrzeni. Od kiedy pamiętam, zawsze nazywał mnie „Wujkiem Rotterem” i wiecznie radował się moją obecnością. Najbardziej cieszyło go moje markotne podejście do całego świata. Każdy atak, każde narzekanie potrafił obrócić w żart, będąc przy tym pogodnym oraz towarzyskim. Najbardziej *nie cierpiałem* jego pomysłowości – odnosiłem wrażenie, że on chce mnie skrzywdzić przeróżnymi mechanizmami.

Jego zacięcie do majsterkowania, konstruowania oraz ciekawość świata zawsze mi imponowały. Opierał się wielu moim próbom spaczenia umysłu oraz zniechęcenia go do dalszego działania. *Wiecznie szczęśliwy, wiecznie wolny...* Nie mogłem uwierzyć, że ten brzdąc będzie zgrywał wyrosniętego i pewnego siebie malca. Czasem odnosiłem wrażenie, że jest moją drugą połową, którą lata temu straciłem - *może właśnie dlatego nie znosiłem jego obecności...?*

Krażyliśmy po Dodge przez jakiś czas. Wysłuchiwałem jego ambitnych pomysłów i planów, jak to mógłby uprzykrzyć mi bardziej życie. Malec doszedł do wniosku, że tylko bycie

nieszczęśliwym czyni mnie szczęśliwym. Jego pokrętna logika nie dziwiła mnie ani trochę, jednakże nigdy nie miałem okazji, by przeciwstawić się tejże teorii – każda próba kończyła się tym, że przedrzeźniał mnie, korzystając z przesadzonych, wymaginowanych stwierdzeń, jakby pragnął przemówić do mojego wnętrza.

- Wujek Rotter jest wśród nas! Wujek Rotter jest wśród nas! – śpiewał malec, zwracając uwagę przechodniów. Uśmiechali się, widząc jego pogodną, rozbawioną twarzyczkę.

- Nie możesz przestać? – spytałem, kiedy jego przyspiewki zaczęły wyprowadzać mnie z równowagi. – Próbuję nad czymś pomyśleć.

- Ależ ambiwalencja nie może przeszkodzić nam w estymacie naszych odczuć i poglądów. Wpłynąć to może na niekorzystne zestawienie wartości, które w rezultacie doprowadzą do wykroczenia wskazań ponad normę! – mruknął nieprzyjemnie, co mnie jeszcze bardziej zdenerwowało.

- Czy naprawdę musimy poddawać się dyskusji na temat sposobów analizowania domen duchowych metodami ujętymi w powszechnej statystyce?

- Właśnie do tego zmierzam, jednakże druga strona nie wykazuje odpowiednich chęci ani zainteresowań do podjęcia się stosownego dialogu...

- To ci niespodzianka... - przewróciłem oczami. Po chwili coś mi zaświtało. – A może jednak podejmiemy się dywagacji w tej dziedzinie? Spróbujemy dowieść, że bipolarność chwiejnej struktury, pozwala na wykorzystanie odpowiednich środków do wprowadzenia pluralizmu psychologicznego wespół z monizmami spirytualistycznymi.

- Naprawdę? – zrobił ogromne, maślane oczy na widok mojego pomysłu

- NIE! – ryknąłem, próbując pozbyć się tej niewinnej radości z jego twarzy. On jedynie chichotał. – A teraz kicaj gdzieś, gdzie nie będziesz mi przeszkadzał!

* * *

Obserwując niebo, można dostrzec wiele interesujących rzeczy... Często korzystałem z tej zasady w chwilach słabości. Szczęśliwie udało mi się splawić Quickeye'a i ponownie mogłem cieszyć się względną samotnością. Żreback zrozumiał powagę sytuacji i odbiegł, śpiewając radośnie o moim powrocie do miasta. Tymczasem próbowałem poświęcić wolne chwile, aby ułożyć myśli oraz obmyślić stosowną strategię...

Dostrzegłem, jak po bezchmurnym niebie leciał w kierunku Dodge pewien pegaz. Zwróciłem przede wszystkim uwagę na jego niezdarność. Obserwowałem z niedowierzaniem, jak kieruje się na jedyny wysoki budynek w miasteczku – kolumnę zegarową. Pokręciłem głową, widząc trafienie w budowlę. Wydawało mi się to bardzo podejrzane, dlatego poszedłem

przyjrzeć się całej sprawie; odnosiłem nieodparte wrażenie, że jest tutaj z mojej winy.

Lot tego pegaza był dosyć powolny; w rezultacie nie narobił zbyt wielu szkód. Docierając na miejsce, odetchnąłem z ulgą i spojrzałem na tego nieszczęśnika - była to klacz o szarym umaszczeniu i blond grzywie. Bąbelki w postaci uroczego znaczka wydawały mi się skądś znajome. Również rzucała się w oczy czapka listonosza, a pod nią zbieżny zez, nadający uszkodzonej wizerunek kompletnej łamagi.

- Dofle-flu-flejt? – spytała, kiedy dotarło do niej, że jest już na ziemi. Wielu przypadkowych gapiów, którzy również zainteresowali się wypadkiem, odetchnęło z ulgą. Spoglądałem z góry, jedynie potakując głową. Doszedłem do wniosku, że poprawianie mojego imienia nie przyniesie skutku. – Mam tutaj liścik dla pana...

- „Przepraszam za swoje zachowanie. Wiem, że chciałeś być miły.” Bez podpisu – przeczytałem treść na głos, po czym jeszcze raz spojrzałem na pegaza. Wytknąłem mu datę wysłania listu. – Widzisz to? Jest tu dokładnie napisane, że nadawca wyśle ten list dopiero za trzy dni. Wezmę go ze sobą, bo styl pisma rozpoznam...

- Eeee... Polecamy się na przyszłość! – spojrzała raz jeszcze zmieszana na list.

- Tak... Będę o tym pamiętał... - *Pegazy jak zawsze mają problem z punktualnością...* Opuściłem listonosza tak szybko, jak to było możliwe. Wystarczy mi obecność Pinkie, którą musiałem niańczyć od samego rana, gdziekolwiek ona była.

Spacer po Dodge powoli oswajał mnie z myślą, że niedługo wrócę do podobnych miejsc; trzeba będzie opuścić sielskie, beztroskie Ponyville, by ponownie mogły zagrać miejsce ruina oraz samotność. *Krętacz...* To prawda. Wiele straciłem przez kłamstwa, ale również dzięki nim żyłem. Ukrywając swoją osobowość przed światem, wiele poświęciłem, aczkolwiek wciąż to wszystko było tylko dla tego jednego kuczka...

*Pozwól tu i posłuchaj chwile,
Nie pozwolę, byś się czuł niemile,
Gdyż wzbronione, by radość trwonić,
Tak więc nie pozwolę ci się niepokoić.*

*Porzuć swe słabostki i dołącz do mnie,
Ponieważ one nie za wiele wnoszą
Więc wesel się, wesel się, przyjacielu!*

*Czasem twe szczęście smutek odziewa,
Gdy z oczu twych ciemność spoziera,
Pozwól mi rozpalić radości, uśmiechy,*

By nie dopuścić ucieczki uciechy.¹

Spojrzałem w kierunku pewnego śpiewającego kucyka. Pomimo słonecznej, upalnej pogody miał na sobie kremowy płaszcz zakrywający całe ciało. Spod starego, słomianego kapelusza wystawała kozia bródka oraz, typowe dla wiejskiej kultury, źdźbło trawy w zębach. *Znowu ty...* Śpiewał, aby wyrwać mnie z rozmyślań, jednak nie było to najlepszym rozwiązaniem. Podszedłem zdenerwowany i strąciłem kapelusz z głowy.

- Panno Pie! – wycodziłem przez zęby, widząc jej dziecinny uśmiech. Moja markotna, poirytowana mina nie wywierała na niej wrażenia; w końcu ten obraz był codziennością. – Staje się pani przewidywalna...

- Ja?! Niemożliwe! – klekotała radośnie, machając głową dookoła. W pewnym momencie coś do niej dotarło. – Ej! Skąd wiedziałeś, że to ja? Nawet głos podmieniłam!

- Ponieważ jesteś nieprzewidywalna... – zmrużyłem oczy, ruszając w swoją stronę. Ona pobiegła za mną.

- Że co?!

- Twoja nieprzewidywalność jest przewidywalna. – Powtórzyłem, wskazując kopytem starą rozlatującą się knajpkę. – Przemyśl te słowa nad kuflem cydru... – i tyle ją widziałem.

Kłótnia, szczeniak, pegaz i teraz zhora. Długi dzień... Wzdychałem ciężko, stojąc beczynn timer i licząc na jakiś rozwój sytuacji. Na cokolwiek, co zdołałoby poprawić moją reputację w oczach Applejack. Nic konkretnego nie przychodziło mi do głowy, a tradycyjne zrobienie czegoś na drutach było niestosowne. Ona była już dorosła, a w Dodge nie handlowali wełną, przez co nie mogłem się wykazać. Po odsłuchaniu kolejnej piosenki zdecydowałem się wrócić na farmę wiśni, mając nadzieję, że Jubilee przygotowała jakiś obiad. Zgadza się. Tym razem to kiszki marsza grały.

* * *

Moja stara znajoma mieszkała w małej rezydencji, która wyróżniała się na tle całego Dodge. Wyglądało na to, że duże pieniądze przeznaczała nie tylko na utrzymanie drogocennej fryzury, ale również i posiadłość.

¹ Bazujące na ClutterviX ft. Sketchy_Sounds – Pinkies Reality

Cherry zawsze miała hopla na punkcie chust; idąc do jadalni, zauważyłem całkiem okazałą ich kolekcję, a pod każdą sztuką widniała tabliczka z rokiem kupna, miejscem i rodzajem materiału, z którego została wykonana. Zaskoczyły mnie niektóre z nich, ponieważ natrafiłem na starsze od naszej znajomości. Jak sięgałem pamięcią, to nigdy nie widziałem, by nosiła jakąkolwiek na sobie, przynajmniej nie za młodych lat.

Stół był wykwintnie zastawiony przeróżnymi daniami, zupełnie jakbyśmy byli wpływowymi gośćmi z dalekich stron. Zawsze troszczyła się o podróżnego; może dlatego lubiłem do niej przyjeżdżać? Nie dość, że mogłem zapomnieć o problemach, to jeszcze się najeść, o ile na to zapracowałem. Dzisiaj musiała zrobić dla mnie wyjątek.

Siedliśmy we troje przy jednym stole – ja, Applejack oraz Cherry. Czuliśmy się niezręcznie, ponieważ do tej pory nie opadły negatywne emocje. Każde niemrawe spojrzenie było odbijane w przeciwnym kierunku albo na dania w pobliżu. Patrząc na Applejack, odnosiłem wrażenie, że gniew przekształcił się w smutek oraz rozczarowanie. Widząc ją w takim stanie, poczułem się nieprzyjemnie; musiała zmierzyć się z ciężką rzeczywistością. *A teraz mogę ją dobić...* Uznałem, że w stosownym momencie powinienem był wyjaśnić kilka rzeczy.

Jedliśmy w ciszy i spokoju. Wiecznie radosna Cherry uznała, że nie możemy spędzać tego czasu tak smutno i ponuro, dlatego postanowiła jakoś nawiązać konwersacje. Głównie wspominaliśmy stare czasy, kiedy Dodge cieszyło się największą świetnością, o naszej wspólnej pracy w sadzie, również trafił się epizod, w którym występowała Applejack. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek pracowała u niej, chociaż ucieszyło mnie, że nie tylko ja mogłem wspominać o tych okolicach.

- Czyżby twoja szlachetna misja z otwarciem szkatułki wreszcie się powiodła? - zapytała w pewnym momencie gospodyni. Uśmiechnąłem się delikatnie, przetykając kolejny kawałek.

- Niezupełnie - skwitowałem na szybko i odstawiłem na bok talerz. - Chcąc się z tobą spotkać, kierowałem się równie szlachetnymi pobudkami

- Och, jakie to rozkoszne! - ostentacyjnie ekscytowała się, wywołując stonowany śmiech przy kolacji. - Przecież wiesz, że nie musiałeś tego robić

- Ależ, Cherry! Dla ciebie zrobiłbym wszystko! Nawet porzuciłem nieodłączną szkatułkę tylko po to, byś mogła spędzić ze mną kilka chwil

- Miss Jubilee? - w pewnym momencie lokaj przerwał naszą rozmowę. - Ktoś oczekuje na spotkanie. Sprawa podobno jest bardzo ważna

- Oczywiście. Wybaczcie na chwilę...

Zostaliśmy we dwoje w ogromnym salonie, obdażając się w milczeniu spojrzeniami.

Nadeszła ta chwila, której szczerze nie chciałem. *Czas przynieść trochę bólu...* Spojrzeliśmy sobie w oczy i obydwójce skrzywiliśmy miny. Każde z nas oczekiwało, aż to drugie zacznie.

- Naprawdę nie mam nic do dodania, panno Applejack – powiedziałem mimochodem, wiedząc, że to nie pomoże w dojściu do porozumienia.

- Ja również nie, kowboju – odparła, robiąc nieprzyjemną minę.

Na szczęście nasz gniew skoncentrował się na Pinkie Pie, która wparowała do jadalni i zaczęła ucztować, wspominając, ile to litrów cydru dzisiaj wypila. Cherry miała niemały problem z zaspokojeniem jej apetytu, aczkolwiek późnym wieczorem różowa zmora padła nieprzytomna kopytami w górze. Zdecydowaliśmy się przenieść ją do sypialni i sami doszliśmy do wniosku, że nadeszła już pora, by odpocząć od siebie.

* * *

Czy nie może być tak, by cokolwiek szło po mojej myśli...? Cały świat stawał naprzeciwko wszystkim moim wartościom tylko po to, by mnie pograżyć. Myślałem, że migracja na dwa dni do Dodge pomoże, ale nie miałem na tyle szczęścia; niezależnie od miejsca pobytu, nie mogłem zmrużyć oka. *Ten dźwięk...*

Przez większość nocy męczyły mnie wyrzuty sumienia, chociaż powiedziałem prawdę. Wręcz nie mogłem uwierzyć, że takie rzeczy się dzieją na co dzień! *Kwintesencja absurdu w najczystszej postaci...!* Kiedy udało mi się zwalczyć te wszystkie nieprzyjemne myśli i wreszcie zamknąć oczy, budzony byłem przez nieustające trzaski gałęzi.

Kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem, *jak ta mściwa Applejack ciężko pracowała przy strącaniu wiśni.* Widocznie, musiała wyładować na czymś swoją złość po wczorajszym *obnażeniu surowej rzeczywistości.*

Nie byłem dumny z wczorajszych słów, jednak czyniłem to w przeświadczeniu, że kierowałem się *szczerością.* Ona o tym wiedziała; zgaduję, że czas i miejsce na takie stwierdzenia były niestosowne; być może nie to pragnęła usłyszeć.

Rozejrzałem się po całej rezydencji Cherry w poszukiwaniu różowej zmory. Nie chciałem, by podczas podróży doszło między nami do spotkania; dzisiejszy dzień miał być kluczowy dla całej wycieczki do Dodge.

Przy wyjściu z farmy trafiłem na Cherry, która wsiadała do dylizansu, mówiąc, że wybiera się na wycieczkę w interesach do sąsiedniego Apple Loosa. Chciała zawrzeć jakąś umowę, bo widziała tam kwitnący, wspólny biznes. Akurat spieszyłem się w przeciwnym kierunku na spotkanie, dlatego nie chciałem wdawać się w szczegóły jej podróży.

Po opuszczeniu Dodge Junction moja wyobraźnia działała coraz lepiej. Sceneria rozpadającego się miasteczka została zastąpiona mrocznymi, ponurymi Mokradłami Haysead, gdzie za każdym zakrętem czaiło się jakieś niebezpieczeństwo. *Prawie jak w domu...* Krążyłem powoli przez wąskie, wydeptane ścieżki, napotykając po drodze na węże, trujące żaby oraz mączące zmysły halucynogennym pyłkiem kwiaty. Czułem się jak w miejscu, które od zawsze uwielbiałem; skąd słabsi i pozbawieni wyobraźni musieli uciekać, tuląc się do swoich pluszowych zabawek. Nieprzeniknione gąszcze od zawsze straszyły podróżników, ale na tym polegał ich urok, który odkrywali wjątkowi degeneraci albo ci z przeróżnymi kompleksami.

Powód, dla którego odwiedziłem mokradła, był prosty - potrzebowałem *odpowiednich* materiałów. Takowe posiadają jedynie właściciele, którzy publicznie nie pokazują się na oczy, a wszystko załatwiają za pomocą pośredników.

To prawda, że typowi kolekcjonerzy to bogaci, wpływowi obywatele wielkich miast, ale to nie oni posiadali prawdziwe, drogocenne przedmioty. Czasem pośród nich znajdowali się zwyczajni kryminaliści albo istoty o tajemniczej przeszłości i to właśnie z jedną z nich miałem dokonać wymiany. W umówionym miejscu czekał na mnie wysoki na pół drzewa, garbaty jegomość przykryty całkowicie ciemną płachtą, rozglądający się cierpliwie od jakiegoś czasu. Jako, że musiałem chwile poświęcić po drodze, spóźniłem się na spotkanie, ale było warto.

- Witam, ssszanownego pana... - syknął jegomość, głaszcząc torbę dzierżoną w łapach
- Liczę, że dokonujemy uczciwej transakcji – przygotowałem swój pakunek. Otworzyłem przed nim zawartość; kolekcjoner syknął łapczywie, po czym dokonaliśmy wymiany. Spojrzałem na swoją paczkę i uśmiechnąłem się – Dziękuję
- Polecam sssię na przyssszłośśś... - odparł ponownie, po czym zrzucił płachtę i wyprostował skrzydła. Przebił się przez gęste korony drzew, przypalając część z nich. Widziałem, jak odlatuje w kierunku pasma wulkanów, zaś ja obiecałem sobie, że nie będę więcej kontaktował się ze smokami, nawet jeśli mieliby posiadać naprawdę drogocenne przedmioty.

Wracając do Dodge, odczuwałem pewną ulgę z otrzymania tego pakunku. *Teraz tylko zabrać klacze i do pociągu...* Coś jednak nie dawało mi spokoju i przeczuwałem, że ten dzień nie skończy się tak prędko i przyjemnie.

*Spróbuj coś sam, nieważne co;
Jakąś radość ludziom daj,
nie tylko złość.
Coś dobrego przyda się,
oh uwierz mi
Dla takich jak ty.²*

Ponownie zwróciłem uwagę na brzdąkanie dobiegające z oddali. Tym razem widziałem dwóch ogierów, którzy grali na starej gitarze i śpiewali sobie dla zabicia czasu. *Nie tym razem...* Zdenerwowany, że znowu próbowała kiepskiej sztuczki, postanowiłem ją nauczyć, by nie popełniała dwukrotnie tego samego błędu. Od razu, po podejściu do nich, wyrwałem z kopyt instrument i rozwaliłem go na kawałki.

- Panno Pie, to za drugim razem nie zadziała! – warknąłem na nich, a po chwili poczułem, że coś mnie ciągnie za torbę

- Ale ja jestem tutaj! – Krzyknęła, machając do mnie kopytkiem. To mnie trochę zaskoczyło

- Chcesz powiedzieć, że to nie ty grałaś?

- Ależ skąd! – zaśmiała się, przez co zbladłem na widok kipiących ze złości śpiewaków – Powiedziałaś, że robię się przewidywalna, dlatego tym razem chciałam cię zaskoczyć i najpierw o wszystkim opowiedzieć! I co? Zaskoczony? Zaskoczony? Zaskoczony? Zaskoczony? – powtarzała bez końca, wyskakując przy każdym pytaniu z innego miejsca. Uśmiechnąłem się głupio do wściekłych, po czym zacząłem uciekać, by uniknąć poniesienia odpowiedzialności za zniszczoną gitarę.

Udało mi się ich zmylić podczas przemykania przez ciemne zakamarki miasta. Odetchnąłem z ulgą, licząc na to, że reszta dnia minie nadzwyczaj spokojnie. Zawsze podczas odwiedzin, pakowałem się z niemalże kłopoty z miejscową ludnością. Poprzednim razem w Dodge rozpętałem większą bójkę, ponieważ Quickeye nabroił i postanowiłem go bronić. Bardziej butnym kucykom to nie pasowało, dlatego uciekli się do rozwiązań siłowych. Skończyłem z wieloma siniakami. Na szczęście, to miałem już za sobą, tak więc mogłem udać się na spokojnie w kierunku rancza.

Niemalże po paru minutach od opuszczenia kryjówki, przywitało mnie dwóch dobrze zbudowanych pegazów w drogich, zadbanych smokingach i okularach przeciwsłonecznych. Nie dali mi czasu na wyjaśnienia; można by rzec, że ten bardziej umięśniony przyszedł przytulić się.

² "IRA - Spróbuj" z albumu "9"

Zapierający dech w piersiach uścisk uczynił mnie wiotkim. Drugi, będący najwidoczniej mózgiem całej operacji, wykorzystał nadarżającą się okazję, by przejrzeć noszone pakunki.

- Nie spodziewałem się, że Diamentowe Psy zgarnęły sobie pomywaczy w postaci pegazów... Ugh... - mamrotałem, widząc, jak bacznie sprawdza mój inwentarz

- Uszanowanie, panie Neuterfeather – przywitał się elegancko żółty ogier – Widzę, że dobrze się pan bawi w Dodge Junction. Wielka rezydencja, ranczo pełne wiśni, tylko pan jakoś niespecjalnie o sobie dba... Czyżby po to, by zmylić naszą uwagę? Zresztą nieistotne – jego kolega ścisnął mocniej; nie mogłem złapać oddechu – Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia tu i teraz. Oczywiście, po tak długim czasie nasi pracodawcy uznali pana za ‘niedyspozycyjnego’, a moim zadaniem jest sprawienie, aby ich myśl była nieomylna.

- ~ecież ~nęły ~ta... - wykrztuszałem z siebie resztki słów

- A długi rosły, panie Neuterfeather. Myślę, że dobrze sprzedamy pana posiadłość w tym uroczym miejscu i chociaż połowa poniesionych strat zwróci się naszym pracodawcom. Painful Kick, uściskaj pana ‘na dobranoc’.

Pętla na szyi zaciskała się coraz mocniej. Zacząłem sinieć i tracić kontakt z otoczeniem. Pośród rozmywającego się obrazu, ujrzałem, jak żółty pegaz upada na ziemię, a potem ja. Bezsilnie przymknąłem oczy, słuchając przytłumionych dźwięków wybuchów i walki.

* * *

- No obudź się wreszcie! – ktoś boleśnie ugodził mnie kopytem w twarz. *Co do siana...?* Kiedy otworzyłem oczy, zorientowałem się, że wciąż byłem na Mokradłach Haysead. Obok mnie stał ciemnoszary kucyk o nastroszonych blond włosach z wielką paką na grzbiecie zasłaniającą jego uroczy znaczek – W porządku Rotter?

- Teraz Dolefulfate... - mruknąłem na powitanie, podniosłem się z trudem i raz jeszcze obejrzałem okolicę. Tak, wciąż byłem na Mokradłach

- Niech będzie, bez różnicy dla mnie – wzruszył ramionami i przygotował paczkę, na którą czekałem – Kto jak kto, ale akurat ty powinieneś wiedzieć, jakie niebezpieczeństwa przynoszą te kwiaty, szczególnie w okresie kwitnienia. Dobrze, że zacząłem się zamartwiać i spacerować po okolicy. Gdyby nie ja udusiłbyś się od ich pyłku...

- W takim razie, dzięki. Widać, będę ci coś winien - przygotowałem w tym czasie własny pakunek na wymianę. Mój “wybawca” uśmiechnął się.

- Jasne! Zawsze do usług... - odrzekł i zniknął pośród cieni ponurych mokradeł. Ja natomiast na spokojnie zabezpieczyłem swoją nową własność i skierowałem się powrotem do Dodge. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że byłem pod wpływem działania tych zdradliwych

kwiatów. Gdy sobie uświadomiłem, że w moim śnie handlarzem był smok, wściekałem się na samego siebie.

Cieszyło mnie, że wciąż mogłem żyć ze świadomością, że większość tych wspomnień była jedynie snem. Uśmiechnąłem się do siebie, wierząc, że Pinkie Pie nadal będzie szczyła się paranormalnym podejściem do świata, Diamentowe Psy nie znają mojego położenia, z kolei ja nie zniszczyłem, *jak dotąd*, niczyjej gitary.

Wróciłem do miasta cały, bez dodatkowych zadrapań. Mimo to, wciąż czułem się głupio. Bywałem na tych bagnach wiele razy, a mimo to ponownie dałem się złapać w pułapkę przygotowywaną przez kwiaty. Raz mi się zdarzyło *popęłnić samobójstwo*, wpadając pod pociąg, a innym razem wyznałem miłość do Cherry. Chociaż one nigdy się nie wydarzyły, zawsze były to sny bardzo realistyczne, na szczęście niegroźne *dla takiego szaleńca jak ja*.

Na drodze ujrzałem ponownie Quickeye'a. Chcąc uniknąć testowania kolejnych, dziwacznych mechanizmów, podążałem krętymi ścieżkami, jak to było za czasów mojego snu. Plan miasta był identyczny; każda uliczka wyglądała tak samo, jedynie kilka beczek stało w innych miejscach, ale liczbowo zgadzały się.

Udało mi się uniknąć kontaktu z maluchem, ukrywając się w jednym ze śmietników. Licząc na to, że uchronię się od zwariowanych eksperymentów żrebaka, powoli wychodziłem z uliczki i rozglądałem się na boki. Niestety - koszmary stały się rzeczywistością. Drogę zablokowało dwóch dobrze zbudowanych pegazów w eleganckich garniturach. Dobrze wiedzieli, po co się zapuszczają w to miejsce, a właściwie po kogo.

- Neuterfeather, jak mniemamy? – spytał pegaz o żółtej sierści
- Skadże... - odparłem niepewnie. Drugi z nich przygniótł mnie do ściany budynku i warknął. Jego współnik prychnął, po czym kontynuował
- Tak, tak, znamy te twoje zagrywki. Wiedzieliśmy, że pojawisz się w Dodge Junction, by spotkać się z pewnym kolekcjonerem... To chyba doskonała okazja przypomnieć sobie o pewnych długach
- Nie przypominam sobie... Ugh...
- Diamentowe Psy niepokoją się o pana... historię finansową. Skoro miał pan odpowiednie środki, by zadowolić wybrednego kucyka, to sądzimy, że to może wystarczyć za spłatę większości długów. Painful Kick przy drobnej zachęcie potrafi być bardzo... przekonujący, prawda? – trzymający pegaz wbił mnie w ścianę tak, bym całkowicie stracił dech. On zaś podszedł do mojej torby i zabrał pudełko od kolekcjonera – To powinno wystarczyć za pierwszą ratę. Wyrzuć go do kubła, by mógł dalej się delektować starymi śmieciami. Proszę się wypłacać na czas, panie Neuterfeather, ponieważ następne nasze spotkanie nie będzie takie

towarzyskie...

Wrzucili mnie do kubła, ale nie mogłem przez dłuższy czas złapać oddechu. Leżałem w bezruchu, patrząc, jak odchodzą z moją paczką. W pewnym momencie odór śmietnika sprawił, że zacząłem tracić przytomność. Chociaż powoli wszystko się rozmazywało, wciąż słowo ‘paczka’ cisnęła mi się na usta. *Tylko skąd oni wiedzieli o kolekcjonerze...?*

* * *

Obudziłem się w wannie skrupulatnie czyszczony przez Pinkie Pie oraz Quickeye’a. Najwidoczniej wyciągnięto mnie ze śmietnika i przeniesiono do rezydencji Cherry. Podejrzewam, że żrebak poznał mnie po zapachu i w jakiś pomysłowy sposób wyciągnął mnie z tego kubła. Widząc ciemny ślad przechodzący przez cały grzbiet, wolałem nie ingerować w szczegóły jego planu.

Potrzebowali trochę czasu, aby przywrócić mnie do porządku. Smród bijący z mojej sierści był tak trudny do usunięcia, że Cherry musiała zużyć swoje najdroższe środki. *Ta filantropka zbankrutuje przeze mnie kiedyś...* W końcu spotkaliśmy się wszyscy przy stole jadalnym, by omówić odpowiedni plan.

Patrzyli się na mnie jak na padlinę godną skonsumowania. Cała czwórka oczekiwała stosownych wyjaśnień, dlatego nie mogłem ich zawieść:

- Azaliż pragnę zaznaczyć, że nastąpiły pewne nieprawidłowości... - mówiłem powoli i spokojnie, żeby zgromadzeni mogli zrozumieć każde moje słowo

- Do rzeczy, wujku! – krzyknął zdesperowany malec. Jego poważna mina oraz rysująca się żądza zemsty w tych niewinnych ślepiach zaskoczyła mnie

- No pewnie! – ponaglała Applejack

- Nikt, poza mną, nie będzie wyrzucał Wujka Rottera na śmietnik! – klacze spojrzały na żrebaka, który szybko ochłonął i pisnął cicho – Jeśli... eee... nikt nie ma... nic... przeciwko?

- Nie potrzebuję waszej pomocy... - mruknąłem, drażniąc pozostałych

- Wylądowałeś w śmieciach! – wrzasnęła Pinkie Pie – Wiesz, jak trudno jest o tym ułożyć piosenkę?

- Panno Pie, panno Applejack, niech panie zrozumieją, że...

- Rotter, proszę! Dorośnij! – mówiła błagalnie Cherry zmęczona moimi problemami – Wyjaśnij nam całą sytuację, a może jakoś pomożemy...

- Nie, nie i nie! – podniosłem się i skierowałem do wyjścia. Szczęśliwie nie zostałem

przez nikogo zatrzymany – To jest jedynie „moja” sprawa. Zajmę się tym problemem w odpowiedni sposób.

Wiedziałem, że towarzyski z Ponyville nie zrezygnują i będą chciały pomóc, choćby na siłę. Były zbyt uparte, zbyt pewne swoich ideałów, żeby zrezygnować tak łatwo. W dodatku Cherry wyglądała na taką przejętą, że z pewnością pomoże im w realizacji planu pomocy. Dodatkowe wsparcie ze strony Quickeye’a niemalże gwarantowało im sukces, lecz to był *mój* problem, a nie ich.

* * *

Poszukiwania igły w stogu siana rozpocząłem od dworca, gdzie pegazy mogło rzekomo oczekiwać na pociąg. Zakładałem, że byli to typowi ściągacze haraczy, którzy inteligencją nie grzeszą. Wypytywałem przechodniów, czy nie widzieli dwóch eleganckich ogierów, nawet poświęciłem chwilę grajkom, którym *rzekomo zniszczyłem instrument*.

Podróż przez Dodge dłużyła się niemiłosiernie. Zacząłem podejrzewać, że mogli mieć nieco więcej rozumu i wrócić do pracodawców o własnych siłach. To nie byłoby takie głupie szczególnie, że byli dobrze zbudowanymi pegazami; Psy mają środki do zatrudniania kompetentnych ochroniarzy oraz posłańców.

Trafiłem na ich trop dopiero po dłuższym czasie. Widziałem, jak przeglądali miejscową prasę w rozlatującym się barze, do którego wcześniej wysłałem różową zmorę. Zajęci byli picciem cydr i rozmową z tutejszymi kucykami. Dostrzegłem również wykradzione pudełko. *Zaraz będzie moje...*

Musiałem działać szybko, żeby Pinkie Pie, ani Quickeye nie zrealizowali swoich szalonych pomysłów. Na szczęście miałem opracowany plan działania, który mógł się powieść.

Wtedy właśnie dostrzegłem, jak różowa zmora zbliżała się do pegazów i czymś ich zagadywała. W pewnym momencie wskazała kopytkiem w moją stronę, wypowiadając na głos moje imię. Zaniepokojeni posłańcy postanowili opuścić czym prędzej lokal, ale w trosce o własne bezpieczeństwo, próbowałem uciekać jak najdalej.

Trafiłem na „komitet powitalny” w postaci dwóch armat, wokół których przesiadywali Quickeye wraz z Cherry. Stały one obok siebie – jedna z nich o niebieskiej lufie i różowych kołach, druga zaś wykonania z kubła na śmieci. Moje reakcje podzielili ochroniarze, którzy opuścili pospiesznie knajpkę.

- Oddawaj własność wujka Rottera, ty zbóju! – krzyknął malec spod działa
- Panie Neuterfeather, myślałem, że ma pan większe gonady – parsknęli śmiechem ściągacze długów – Teraz pańskiego honoru będą broniły klacze i... źrebię?
- Nikt, poza mną, nie będzie oczerniał wujka Rottera! – Quickeye wystrzelił z blaszanej armaty okazałych rozmiarów płacek wiśniowy, który z trudem wszyscy ominęliśmy. Zobaczyliśmy, jak forma wbija się w ścianę budynku na kilka centymetrów – Za dużo niutonów... - mruknął malec i zajął się poprawianiem mechanizmu
Speszony pegazy postanowiły odlecieć od nieprzyjemnego towarzystwa, ale na drodze stanęła im Applejack. Pomarańczowa klacz w swoim kowbojskim stylu złapała lassem kopyto Painful Kicka i ściągnęła go w dół. Żółty pegaz postanowił pomóc swojemu towarzyszowi, rzucając się w jej kierunku.

Wtem samoczynnie wystrzeliło działo pełne balonów oraz imprezowych dekoracji. Spośród nich wyłoniła się Pinkie, która z dużą siłą uderzyła w żółtego pegaza. Cios był na tyle silny, że pakunek na jego grzbiecie oderwał się i odleciał na pewną odległość. Ruszyłem pospiesznie w celu odzyskania swojego pudełka.

Żółty pegaz przepychał się z Pinkie Pie o to, kto ma dzierżyć w kopytach torbę. W wyniku tej szamotaniny pakunek wylądował na torach kolejowych i zmiądzzył je nadjeżdżający pociąg.

- NIE! – krzyknąłem bezsilnie, obserwując całe zdarzenie
- Panie Neuterfeather, jeszcze się z panem policzymy! Painful Kick, czas na nas! – żółty pegaz wyrwał się z objęć różowej zmory i wzbился do lotu, wołając swojego towarzysza.
- Nie na mojej zmianie! – oznajmił głośno Quickeye i odpalił ponownie armatę. Painful Kick oswobodził się z objęć Applejack i pchnął ją na mnie. Niestety znalazłem się na torze lotu wiśniowego pocisku...

* * *

Obudziłem się pod wieczór w jednej z sypialni Jubilee. Przez błąd konstrukcyjny wiśniowej armaty nie mogłem uczestniczyć w wydarzeniu do końca. Obok mnie stała Applejack wyraźnie zadowolona z mojego poprawiającego się stanu. Wyglądało na to, że nadszedł już czas, *by zakończyć to raz na zawsze.*

- Panno Applejack, czemu pchacie kopyta w nieswoje sprawy? - zapytałem ponuro.

Bezsilnie przyglądałem się wciąż rozbawionej twarzy pomarańczowej klaczy

- Hehe, wolnego, kochasiu! - zarechotała - To tak się teraz dziękuje?

- Mogło wam się coś stać! Oni byli niebezpieczni!

- I co z tego? Nie miej nas za źrebięta, kowboju!

- Panno Applejack, przecież...

- Było, minęło - przerwała i, poprawiając opatrunek na moim czole, ciągnęła dalej - Najważniejsze, że Pinkie Pie była na tyle pomysłowa i podmieniła pudełka w środku całego zamieszania. Tamte przyjemniaczki odleciały z pustymi kopytami...

Wciąż obserwowałem Applejack, która pomagała mi dojść do siebie. Przez cały ten czas zastanawiałem się, dlatego nie wróciła do Ponyville? Co właściwie ją trzymało w tym miejscu? Mimo to, nie zadałem ani jednego pytania pomarańczowej klaczy. Przez chwilę opowiadała o ciągu dalszym ich zmaganiach z posłańcami od Diamentowych Psów. W końcu przeszła do sedna całej sprawy:

- Następnym razem, nie myśl za dużo, cukiereczku. Rób co uważasz, ale ja zamierzam ci powiedzieć, że mnie nie interesuje twoje smętne podejście do przyjaźni z innymi kucykami. Jesteśmy tutaj dla ciebie i dlatego zechciałyśmy wybrać się wspólnie do Dodge. Wraz z Pinkie Pie pragniemy, byś o tym wiedział.

- Nie wiem, co powiedzieć...

- Do siana, a w czym tu problem? Nie musisz mówić wprost „Przepraszam AJ, wiem, że jestem ponurym burakiem”, bo nie o to chodzi. A teraz podnoś się, bo Miss Jubilee czeka na nas ze struclem wiśniowym przygotowanym przez Pinkie Pie.

- Zaczekaj! – krzyknąłem, podnosząc się niemrawo z łóżka. Pomarańczowa klacz stanęła w przejściu, ale nie odwróciła się. *Nadeszła pora, by pogrzebać nadzieje* – Panno Applejack, chcę panią serdecznie przeprosić za te wczorajsze wyznania. Nie cofnę swoich słów dotyczących prawdy o tym ponurym świecie, jednak nie wyzbędę się z pamięci takich kucyków jak ty, czy... czy Pinkie Pie... wybac, ale niedobrze mi robi od tego imienia.

Najważniejsze będzie dla mnie otwarcie szkatułki; to nieuniknione. Kiedy tak się stanie, wrócę w swoje strony, jednak wasza przyjaźń i poświęcenie zawsze będą przy moim sercu i nie będzie dnia bez wspomnienia wspólnie spędzonych chwil. Wiem, że Ponyville to piękne miejsce, ale nie dla kogoś takiego jak ja.

- W takim razie obiecaj mi coś, kowboju – odwróciła się wyraźnie zadowolona z tego, co usłyszała – Odwiedzaj przynajmniej raz do roku Farmę Słodkich Jabłek, dobra? Chodzi o to, byś pielęgnował swe wspomnienia. Zresztą, widać po tobie, że jesteś trochę przegnity i próbujesz to ukrywać. Rozumiem te wszystkie imiona, te pokrętne plany i zagadki, ale w ten sposób nie zyskasz tak cennego zaufania, które jest niezbędne dla przyjaźni. Uczciwość czyni cię otwartym

i sprawia, że wtedy szarlotka ma prawdziwy smak.

- Obiecuję, że będę panią odwiedzał w miarę możliwości, panno Applejack. A teraz zejdźmy spróbować tego innowacyjnego strucla...

* * *

Wracaliśmy nocnym pociągiem do Ponyville. Wszyscy wypoczywaliśmy po dwóch długich i wyczerpujących dniach w Dodge, chcąc powitać oczekujące na nas towarzystwo w jak najlepszej formie. Nawet mnie udało się zmrudzić oczy i cieszyć się snem bez konieczności wzdychania na temat kiepskiego świata albo zepsutego życia.

Leżeliśmy na prowizorycznych łóżkach z pełnymi brzuchami. Cherry nie chciała puścić nas w drogę o pustym żołądku, dlatego zorganizowała wielką ucztę. Zaprosiła nawet małego Quickeye'a, który bardziej od jedzenia wolał nasze towarzystwo. Mimo wszystko, nie podjąłem się wcześniej obiecaney dywagacji. Po wszystkim odprowadzili nas na pociąg. Biedna Cherry musiała posłużyć się lokajami, ponieważ ilość pamiątek kupionych przez Pinkie Pie dwukrotnie przekraczała objętość naszego bagażu.

W pewnym momencie zerwałem się z siedziska, jakbym instynktownie przewidział jakieś nieprzyjemne wydarzenie. Rozejrzałem się dookoła, szczególnie po towarzyszkach podróży, ale nikogo nie znalazłem. Postanowiłem przejść się po przedziale w poszukiwaniu Applejack oraz Pinkie Pie. Nie rozumiałem, czemu w środku nocy zerwałem się bez wyraźnej przyczyny, ale podejrzewałem kłopoty.

Tuż po wkroczeniu na wąski korytarz, usłyszałem nieznośny chichot żartownisia z Ponyville. Wnet wszystkie lampy zgasły, a zasłony w pełni odcięły dostęp do światła księżyca. Kiedy moje oczy przyzwyczajały się do nowych warunków, poczułem lekkie drżenie; tajemnicza eksplozja dobiegająca z przednich wagonów poruszyła całym pociągiem. Bez namysłu zacząłem przebijać się do przodu w kierunku drzwi prowadzących do następnych przedziałów. Przez cały czas odnosiłem wrażenie, że korytarz, na którym się znajdowałem, robił się coraz węższy.

W połowie drogi potknąłem się o jakiegoś leżącego kucyka, którego nie mogłem na początku dostrzec, ani rozpoznać. Dopiero, gdy zauważyłem kapelusz, uznałem, że mogła to być Applejack. Sprawdziłem szybko jej stan; doszedłem do wniosku, że podczas eksplozji zsunęła się z siedziska i straciła przytomność. Ze względu na tego dowcipnisa, musiałem zostawić ją na środku korytarza oraz zbadać, co tym razem kombinował.

Kolejny wagon był typowy dla pasażerów – kilka rzędów ławek na otwartej przestrzeni. Widziałem również wielu zdezorientowanych kucyków, którzy nie wiedzieli, co się dzieje. Wtem ponownie rozległ się złowieszczy chichot, przyprawiając resztę pasażerów o napady paniki. Wszyscy zaczęli szamotać się ze sobą, krzycząc ze strachu, że jakiś upiór przyszedł nas nawiedzić.

Próbowałem przywrócić spokój w przedziale, ale odgłosom strachu zaczęły towarzyszyć nieprzyjemne trzaski. Podłoga na połowie wagonu zaczęła się kruszyć, dzieląc cały pociąg na dwa kawałki. To wywołało jeszcze większe przerażenie wśród kucyków. Szukałem sposobu, by temu wszystkiemu zapobiec; próbowałem przebić się na tą “bezpieczniejszą” połówkę, ale większość pasażerów uznała, że zaraz umrą i zaczęli się tulić do siebie. Doszedłem do wniosku, że musieli być z Ponyville, lecz nie to było najgorsze – oni zaczęli przymilać się do mnie! Wszystkimi siłami odpychałem ich na boki, w miarę możliwości przesuując się do przodu wagonu.

W pewnym momencie cały przedział zaczął pękać na pół, a ode mnie wciąż nie mogli się opędzić przerażeni towarzysze podróży. Ostatkami sił zerwałem się do galopu, widząc tworzącą się przerwę pomiędzy ofiarami czyjejś zabawy, a tymi co przeżyją i ukatrupią żartownisia. Wybiłem się w górę tak mocno, jak to było możliwe. Po chwili poczułem, jak jakiś zrozpaczony malec chwycił mnie za tylne kopyto w obawie przed najgorszym. Przekląłem w głębi ducha i przymknąłem oczy, wiedząc, że zaraz będzie naprawdę nieprzyjemnie.

Dodatkowy bagaż bardzo utrudnił mi sytuację, ponieważ przy lądowaniu patrzyłem na uciekającą spod kopyt przednia część wagonu. Tuż po upadku, chwyciłem się jednej z ławek, stercząc połową ciała poza pociągiem. W końcu poczułem, że malec mnie puścił, dzielając ponury los pozostałych ofiar. Mimo to, nie mogłem świętować tego, że wciąż żyję.

Poczułem, że pociąg zaczął gwałtownie przyspieszać i wchodzić w stosunkowo ostry zakręt. Ławka zaczęła odczepiać się od podłogi pod wpływem mojego ciężaru. Próbowałem się podciągnąć, ale za każdym razem siedzisko coraz bardziej odpadało. Na całe szczęście manewr zakończył się i byłem w stanie wspiąć się na stabilną część pokładu, lecz pech nie przestał mnie prześladować.

Kiedy byłem niemalże całym ciałem na terenie przedziału, wagon gwałtownie podskoczył do góry; ponownie zsunąłem się do tyłu, trafiając jednym z kopyt w deski podtorza. Mimo uczucia przerażającego bólu, wspiąłem się po tej samej ławie, by kontynuować pościg za szaleńcem.

- To trochę za mało, byś zdołał się mnie pozbyć... - kopyto było w tragicznym stanie,

dlatego pościg wyraźnie zwolnił, lecz możliwość pomszczenia wszystkich ofiar tego wybryku dodawała siły i odwagi. – Jak cię znajdę, to rozerwę na strzępy w imieniu każdego, kto musiał zdzierżyć twoje niebezpieczne figle.

Każdy kolejny wagon był coraz trudniejszy do pokonania. Intensywnie krwawiące kopyto oraz nasilający się śmiech stawały się powoli nie do wytrzymania, aczkolwiek musiałem ze wszystkich sił brnąć do przodu. W dodatku nie spotkałem po drodze ani jednego kuczka, co znaczyło, że zostałem ostatnim żywym podróżnym poza kawalarzem i maszynistą...

Przedostatni wagon był pogrążony w ciemnościach, z którego końca biło delikatne, czerwone światło. Musiała tam znajdować się klitka maszynisty i pewnie tam przebywał odpowiedzialny za to wszystko szaleniec. Całe pomieszczenie wypełnione było przeróżnymi pudłami, głównie z pakunkami podróżnych.

Usłyszałem ponownie ten przekłęty śmiech, który zwiastował kolejne kłopoty. Zdałem sobie sprawę, że wagon za mną odczepił się, a pociąg zaczął gwałtownie przyspieszać. Wtem wypełnione po brzegi pudła zaczęły pojedynczo sunąć w moim kierunku. Kawalarzowi musiało zależeć na tym, by pozbyć się niepotrzebnych pasażerów, stosując przeróżne metody, bym nie przetrwał tejsze podróży. Z trudem omijałem albo blokowałem większość pudeł, ale zdrętwiałe kopyto znacznie utrudniało tę walkę.

- Nie... Nie poddam się! – krzychałem co sił w kierunku czerwonego blasku – Skończę te twoje gierki i odpowiesz za wszystkie moje problemy! – w pewnym momencie przebiłem się przez przedział, by ostatecznie dostać się do drzwi maszynisty. Chociaż byłem całkowicie wyzuty z sił, wierzyłem, że znajdę jeszcze trochę, by przynajmniej zadusić tego łajdaka.

Wchodząc do środka, widziałem jegomościa przykrytego płaszczem w słomianym kapeluszu, z wystającą kosią bródką i z trawą w zębach. Obok niego leżała gitara oraz puste butelki po mocniejszym alkoholu marki Everfree. Dziwnie się czułem szczególnie, że do pieca były wrzucane świeżo upieczone babeczki. Nie mógłbym uwierzyć, że za tym wszystkim stała akurat ona, jednakże nikt poza nami nie przeżył tej szalonej podróży. Drżącym kopytem strąciłem słomiany kapelusz; to, co ujrzałem, jeszcze bardziej mnie przeraziło.

Spoglądałem na zmartwioną Applejack, szarpiącą mnie za barki.

- Cholibka, kowboju! – krzychała do mnie – Nic ci nie jest?

- Panna... Applejack...? – wydukałem, po czym rozejrzałem się po przedziale

Wszyscy wokół wyglądali na naprawdę zmartwionych, w dodatku byli żywi. Za

pomarańczową klaczą nie było pieca, a całość przypominała typowy wagon podrózny. Odetchnąłem z ulgą ze świadomością, że to był tylko zły sen, po czym przytuliłem się do Applejack. Ona wraz z Pinkie spojrzały po sobie wyraźnie zaskoczone moją reakcją. Kiedy w nosie poczułem zapach popcornu, mogłem być pewien, że zmuszą mnie do opowiedzenia całej historii. *Dzień dobry. Chyba cię nie obudziłem...?*

* * *

Powrót do Ponyville był huczny i bardzo uroczysty. Pinkie Pie zdołała wszystko zaplanować i czekała na nas z przygotowanym zawczasu przyjęciem powitalnym. Prawdę mówiąc, nie byłem zdziwiony widokiem wielkiego tortu, masy innych kucyków żądnych zabawy oraz czterech szczególnych klaczy, które jako pierwsze rzuciły się do Applejack. Przyjaciółki pragnęły poznać wszystkie szczegóły z wyjazdu do Dodge.

Pinkie Pie sprosiła wszystkich zainteresowanych do cukierni, gdzie odbyła się główna impreza na powitanie przyjezdnych. Były torty, ciasta i zabawy. Pośród tłumu znalazłem pierdołowatego listonosza oraz tęczową klacz, z którymi nie chciałem zamienić słowa.

Przez grzeczność spędziłem trochę czasu na przyjęciu, bawiąc się i kosztując niektórych łąkoci. W pewnym momencie Pinkie rozpoczęła zawody w piciu ponczu na czas, co podburzyło pewną różową klacz z urocznym znaczkim w postaci winogrona. Zdołałem się wymknąć, by uspokoić „niektóre myśli”. Na szczęście żaden z obecnych kucyków nie odczuł mojej nieobecności.

Udałem się nad jezioro nieopodal Ponyville, by łatwiej mi było myśleć, wpatrując się w lustrzane odbicie. Ostatnie wydarzenia zaczęły udzielać się coraz bardziej, co było niepokojące. Dłuższa konfrontacja z myślami nie miała sensu; powrót do Ponyville był jednoznaczny z utratą prywatności.

Zobaczyłem w oddali Fluttershy, która krążyła w pobliżu wraz ze swoimi zwierzątkami, by podziwiać widoki natury. Podejrzewam, że nie była ona zwolenniczką hucznych, głośnych imprez albo lubiła je tylko w małych dawkach.

Maślana klacz bez oporów zbliżyła się i nawiązała ze mną rozmowę. Wnet zrozumiałem, że działo się coś niepokojącego, skoro nawet strachajło mimowolnie poświęciło mi chwilę czasu.

Spędziliśmy na rozmowie kilka godzin. Fluttershy okazała się bardzo mądrą klaczą i w

dotatku wrażliwą, co chyba zaskoczeniem nie było. Nie rozumiałem, dlaczego akurat tak silnie identyfikowała się z naturą, ale próby wytłumaczenia tego fenomenu zdały się na nic. Pod sam koniec naszego spotkania zaproponowałem, czy nie pomóc w zajęciu się towarzyszącymi nam zwierzakami. Mimo oporów, zgodziła się i w ten sposób nasze spotkanie wydłużyło się o kolejne godziny.

Tradycyjnie pod wieczór przybyłem do biblioteki Twilight. Ucieszyło mnie, że tym razem nie zastałem bałaganu, a jedynie dobrze zadbane mieszkanie wraz z ułożoną i zorganizowaną właścicielką. Na szczęście wyglądała na spokojną oraz zadowoloną z udanego spotkania z Księżniczką Celestią.

- Panno Sparkle... - powiedziałem na wstępie, przeszukując bagaż podróżny – Mam nadzieję, że spotkanie z pani nauczycielką przebiegło pomyślnie, ale pragnąłbym nie rozwijać tego tematu dalej... - Twilight popatrzyła na mnie dziwnie, ale nic nie powiedziała. Po chwili wyciągnąłem jakiś zwój i podarowałem jej w prezencie – Stary manuskrypt Starswirla Brodatego wymagający komponentów, które do tej pory uzbierała pani w swoich zapasach. Pomoże przy przełamywaniu bariery blokującej stworzenie tego zaklęcia, nad którym siedzi pani tyle czasu...

- Ja... Nie wiem, co powiedzieć... - mówiła powoli, szukając odpowiednich słów. Trudno było orzec, czy mając ten zwój w kopytach czuła radość, czy wściekłość. W pewnym momencie to drugie przewyciężyło i zaczęła krzyżeć na całą bibliotekę – Chwila. Grzebałeś w moich rzeczach?!

- Dziwnie okazuje pani wdzięczność...

- Wdzięczność?! Grzebałeś w moich rzeczach, w moim eksperymencie, nad którym pracuję od dłuższego czasu! Jeszcze mi powiesz, że tylko po to wyruszyłeś do Dodge, co?

- Zgadza się, panno Sparkle. To był priorytet.

- Ty... Ty... - widząc, jak zbiera jej się piana w ustach, postanowiłem przygotować się na najgorsze – Wynoś się stąd, ale już! Jak mogłeś czytać moje notatki?

Bez okazywania jakichkolwiek emocji chwyciłem za szkatułę. Zmarkotniałem tylko bardziej, kierując się do wyjścia.

- Coś za coś, panno Sparkle... - powiedziałem na pożegnanie, zostawiając Spike'a na pastwę wściekłego jednoroźca.

Po wyjściu z biblioteki, skierowałem się do najmniej lubianego przeze mnie mieszkańca Ponyville. Przy okazji mogłem wysłuchać, jak kolejna pieczęć została zerwana. Mimo to, nie chciałem wiedzieć, co tym razem udało się osiągnąć.

Kiedy dotarłem na miejsce, spotkałem się oczywiście z niemiłym powitaniem ze strony

pewnej klaczy.

- Czemu marnujesz mój cenny wieczorny czas, ty gburze! – prychnęła Rarity. Jedynie wyciągnąłem szkatułę, by ją nieco uspokoić. Aby było jeszcze ciekawiej, klejnoty w niej wciąż się mieniły, tworząc bajeczną kreację. Źrenice choleryczki wnet rozszerzyły się do granic możliwości i zaczęła radośnie podskakiwać. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że mam do czynienia z prawdziwą idiotką. Widząc jej poprawę nastroju, uśmiechnąłem się i w delikatny sposób zapytałem:

- Czy obecność tej szkatuły może nam posłużyć jako karta przetargowa naszej znajomości?

- Ależ oczywiście, kochany! Wchodź do środka!

Nie mogłem uwierzyć, że tak łatwo poszło zmiękczenie tej materialistki; w końcu była skończona egoistką. Kiedy objęła swą magią szkatułkę, by ją umieścić w jakimś widocznym miejscu jako cenny eksponat, zorientowałem się, że widniejący napis na kopule brzmi „Poświęcenie”. Wkroczyliśmy do środka i przed snem napiliśmy się delikatnej herbaty. Wtedy myślałem jedynie o jakiejś ciepłej kozetce, na której spędzę resztę nocy...

[<< Poprzedni rozdział](#) * [Następny rozdział >>](#)